BEZPŁATNY DODATEK DO „SŁOWA"

ŻAGARY

MIESIĘCZNIK IDĄCEGO WILNA POŚWIĘCONY SZTUCE

Maj 1931 Numer 2

TEODOR BUJNICKI.

PODRÓŻ

Tu się zaczyna finał filmu
i powieść dotąd nieskończona
zajęcie w fotelach krytych skórą
dźwigamy drogi na ramionach.

Drogi krzyżują się i plączą
jak siatka zmarszczek koło oczu.
Próżno szukamy na rozdrożu
szlaku, co w cieniach lasów spoczął.

Co ma po bokach jasne stawy
i mocne dęby zrosłe z ziemią
góry zielonofiołkowe
i rzeki łuk jak srebrne strzemię.

Szlaku, co szuka tak uparcie
dworu, czy miasta, wsi czy chaty,
gdziebyśmy mogli wreszcie upaść
garścią
uschniętych
kwiatów.

Wiersze dla opętanych

MŁODZIENIEC:

Jeżeli nie wierzę w Boga, który miłosiernie
Zakrywa oczy dłonią
To napewno wierzę w Szatana, ostre ciernie
Przypadającego skroniom.

Wędruję z nim przez miasta i płynę po [wodach
Jak z dobrym bratem
Już mi nie świeci twoja uroda
Nad poematem.

Gdy młode ręce na wiosłach śpiewnych
Mocno opieram
On wtedy piękny, smagły i gniewny
Czuwa nad sterem.

Zasiada ze mną koło stolika
W wielkiej kawiarni
I pokazuje okno — tam znika
Wieczoru karmin.

Gdy twoje piersi całuję nocą
Siada na łożu
Brwi jego ostre groźnie łopocą
Jak czarny orzeł.

Wiem, że mnie czeka, a kiedy świtem
Odejdę cicho
Szeleści za mną pomiędzy żytem
I rani pychą.

I on to sprawia, że czasem znowu
Pacierze wołam
Wtedy połyska w ciemnościach blisko
Swem białem czołem.

DZIEWCZYNA:

Boję się ciebie, boję
O mój miły jesteś opętany
Nie widzisz, nie widzisz mnie
Pięści krwawisz o nieznane ściany.

Moje ręce chcą plecy twe pieścić
Moje nogi chcą ciebie oplatać
Moje usta nad oczu twych kwiatem
Chcą jak motyl trzepotać i latać.

A ty gnasz z przyjacielem złym
Z władcą ciężkiej, bluźnierczej modlitwy
Aż upadniesz wśród zgiełku bitwy
I śmierci przesłoni cię dym.

Czesław Miłosz.

Z poematu „Harakiri"

Wiersz IV.

Ciężkie sny. Iwy skrzydlate, gryfy i papugi.
jak jedwabne draperje nad nami się chwieją.
Jakże trudno jest spłacać zaciągnięte długi
tym, którzy muszą umrzeć, a żyli nadzieją.

Bić się w piersi i wołać, że nasza jest wina?
Ależ świat nas oszukał, a Bóg czyż nas słucha?
Komu zdamy rachunek ze złotych okruchów,
któremi obdarzono marnotrawnych synów.

Złe wzięliśmy dziedzictwo, złe zbieramy plony,
wiosłujemy bezradnie pod niebem spienionem.
Świat i miłość kupione za kradzione złoto
pożądań nie nasycą i pęt nie rozplotą.

Tak boleśnie jest wznosić słabe i związane
ręce, któremi ciała pieściliśmy dziewczyn
i ustami przypadać do krwawiącej rany:
do stygmatów Chrystusa, Który w dom nasz nie wszedł.

Żegnajcie przyjaciele, idący prostemi
liljowemi drogami do zacisznych dworów.
Pachną nad wami lipy, a smuga wieczoru
wieje wam w zdrowe płuca ostrym smakiem ziemi.

Tkliwe i dobre żony czekają przy oknach,
wyglądając strudzonych, lecz jakże szczęśliwych!
Psy wierne wznoszą głowy na głos waszych kroków
i biegną na spotkanie przez szare pokrzywy.

Słońce—dobry gospodarz — w czarnych lasów studni
gasi naręcza ognia - życiodajnej mocy.
Zasypiajcie spokojnie pod namiotem nocy
właśnie wtedy, gdy nam jest najtrudniej,

gdy zdzieramy bandaże z ran niezabliźnionych
i krzyczymy, krzyczymy skamlącym skowytem;
zanim wpłynie do okien ranek pokrwawiony,
by nowy dzień obwieścić szczęśliwym i sytym.

Teodor Bujnicki.

Pejzaż romantyczny

NOC. ZBLIŻA SIĘ BURZA.

Z jednej strony chór,
Z drugiej strony wtór.
Grzywą gałęzi trzęsie bór.

Chmura ciągnie. Pod jej płetwą znika
Przezroczystość niebieskiej szyby.
Mąci niebo i gwiazdy połyka,
Jak wieloryb świecące ryby.

Sztandary i prześcieradła
Wieją u nieba szczytu.
Łuna: w ich worek spadła
Tarczą okrągłolitą.

Zamykajcie drzwi od werandy,
Wszystkie okna i wszystkie ganki.
Nietoperze pod szyby przypadną,
Pod skarpy, załomy, flanki.

Rzyga napaści chciwy polip
Kłębami gór jak gęstym płynem.
Prędko szepczemy, prędko, bo ciężar świata [nas boli
W usta żon naszych wiersze, które są za- [wsze winem.

Piorun. Straszny grot chyżej błyskawicy [uderzył w szczyt topoli.

Jerzy Zagórski.

WAM

Gładzą sennie pośladki i czasem językiem
Po wargach zapieczonych niespokojnie liżną
Albo nam pocałunki nużące jak likier
Sączą, spragnione uda rozchylając z wizgiem.

Mówią o Pittigrillem i o Chestertonie
I o tem co ostatnio napisał Boy—mędrzec
Panowie rozpaczliwie pocierają dłonie
Szepcąc, że kryzys jednak narówni jest [wszędzie.

I sidłają nas młodych w ostrożniutkie pęta
Krążymy w ich salonach ubrani we fraki
Oklaskują nam wiersze i chwalą talenta
Prowadzą po sypialniach zdobionych ze [smakiem.

A my ciągle myślimy o wichrze surowym
Który kiedyś te wieże nieprawości złamie
O ludziach, którym dano będzie wyhodować
Powagę życia twardą i prostą jak kamień.

A my już upadamy. I jeszcze do wschodu
Obracamy swe oczy. Ale przecie ziemia
Zaspokoić naszego nie potrafi głodu.
Z przeklętego jesteśmy bowiem pokolenia.

Czesław Miłosz.

Modlitwa do M. Boskiej

O dłoniach wąskich i żółtych pachnących woskiem gromnic
o sercu przebitem nożami
o ostrym sierpie księżyca rzuconym na dźwięczne gwiazdy
nie mogę nie mogę zapomnieć
Najświętsza Panno poczęta bez zmazy
Najświętsza Panno módl się za nami!

Budzimy się ze snu ciężkiego bardzo samotni
i krzyż wiszący nad łóżkiem już nic nie mówi do nas
kładziemy ręce na skroniach niby na przęsłach zwrotnic
gdzież jest Anioł co zastąpi by nas pokonać, przekonać?

Panno niepokalana, Ty wiesz jak pragnę boleśnie
uwierzyć w Twojego Syna i prawdy tak bardzo piękne
Ty wiesz dlaczego się zrywam i krwawię i wołam we śnie
do Boga Miłosiernego przed Którym boję się klęknąć.

Ach czemu w Twoją Legendę jest mi uwierzyć zbyt łatwo
i czemu w sercu jałowem wschodzą trujące plony
Nauczycielko wątpiących, Pocieszycielko strapionych
do stóp Twych depczących węża przypadam z modlitwą [o światło!

Teodor Bujnicki.

ASTRONOMJA

Gdy ku lądom dalekim, głębokim bezbrzeżom
Przez pustynie śródgwiezdne, po nieznanych metach
Teleskopem do nieba, a do ziemi wieżą
Uwiązani płyniemy w trumnych Mahometa,

Najgórniejszą modlitwą w nieznanej przestrzeni,
Jest śmiałem jej ziszczeniem i mądrą miłością
To, że nad siną mapą nieba pochyleni
Każemy liter słuchać owym niezmiernościom.

Już ręce położone na centrum wszechświata,
Wszechświat w śmiesznej soczewce z tajemnic odarty.
Posłuszne globy krążą w szklanych aparatach:
Kalejdoskop kosmosu na djamentach wsparty.

Tylko wielcy odkrywcy, panując nad mrokiem,
Gdzie granice się zjawisk nieznanych wciąż tracą,
Rozumiemy jak wielką tęsknota jest pracą
I jak straszno jest w wieczność patrzeć — gołem okiem.

Jerzy Zagórski.

ZBRODNIE PRZYMIOTNIKA

II. Przenikanie haseł futurystycznych do teorji poezji naświetliło też w specyficzny sposób stosunek przymiotnika. Zwalczano przymiotnik zasadniczo, jako formę statyczną sprzeczną rzekomo z ideą wizji dynamicznej. Epitet, wyrażający pewną cechę, zatrzymuje uwagę dłużej na przedmiocie, przeto nie podpada pod kategorję form dynamicznych. Pogląd ten ujawnia naiwne utożsamianie dynamiczne z ruchem. Ruch istotnie zostaje na chwilę zatrzymany, ale jedynie poto, aby się tem silniej w następnym momencie uwydatnić, aby osiągnąć zwiększoną prężność.

Wizja dynamiczna zostaje spotęgowana dzięki rzuceniu nowej fali światła. Ruch mgławicowy zmięszanych pojęć i nieskreślonych obrazów nie jest najwyższą formą ruchu. O ile kontury poruszających się przedmiotów nie odcinają się silniej, ruch zmienia się w wirującą plazmę, w pierwotny chaos. Przymiotnik przez konkretyzowanie i ostre odcinanie przedmiotów wnosi do ruchu element ładu.

Kombinacja obrazowa rzeczownikowa może zastąpić epitet, jest to jednak forma pierwotna i sprzeczna z nowoczesną zasadą oszczędności. Człowiek pierwotny, zanim nauczył się chwytać cechy przedmiotów „in flagranti", musiał stosować metodę inkwizycji, osiągając potrzebne określenie przez wymęczenie go z szeregu innych, niewinnych rzeczowników.

Oglądając przedmiot obchodzi go ze wszystkich stron i porównywa z innemi przedmiotami. Dopiero w następnem stadjum procesu rozwojowego uczy się abstrakcyjnego myślenia. Przymiotnik jest wytworem wzrastającej zarazem wnikliwości i syntetyczności człowieka. Na tem tle jest on rodzajem skróconej metafory. Nie wnikając w całe podłoże psychologiczne przyjmiemy banalną definicję metafory, jako zestawienia dwóch pojęć, nie mającego odpowiednika w t.zw. świecie realnym, uzasadnionego racją wewnętrzną lub zewnętrzną. Przykład najprostszy: poduszka jak śnieg. Pierwszym odruchem jest nawiązanie nowego przedmiotu do dawnego znanego i uznanego. Dopiero z czasem umysł chwyta w abstrakcji cechę. Przymiotnik „biały" zastępuje porównanie „jak śnieg" czy „koloru śniegu". Metafora została chwycona za gardło i ujęta w jednym błysku. Dlatego np. powiedzenie w rodzaju „biały jak śnieg", „czarny jak węgiel" stanowią tantologję metaforyczną, powtórzenie tego samego w skrócie i w rozwinięciu. Epitet „biały" powinien już sam przez się wywoływać potrzebne skojarzenia wyobrażeniowe, porównanie do śniegu powinno zawierać implicite cechę „białości". Możnaby powiedzieć, że przymiotnik stanowi tu wskaźnik kierunkowy, na jakiej płaszczyźnie następuje zestawienie, czy poduszka jest dlatego jak śnieg, że jest biała, czy dlatego, że „zimna", ale dowodziłoby to tylko braku przekonywującego uzasadnienia metafory, dość silnej jej racji bytu. Tak czy inaczej tam, gdzie epitet dobrze wywiązuje się z zadania, metafora dodatkowa stanowi nadwyżkę nie do skonsumowania.

Procesu kondesacji metafory w epitety nie można i nie trzeba odwracać. Przez rozrzutność dąży się do oszczędności. Metafora przyswaja językowi nowe ustawienia, które z czasem tracą swój walor świeżości i przechodzą do rezerwuaru. Przymiotnik spełnia rolę transformatora prądu metaforycznego. Wchłania w siebie starą metaforę, pożera ją, potem zaś sam się staje narzędziem metaforyzacji, dając się użyć do zestawień nowych i zapładniających. Przykrojony pierwotnie jedynie do pewnej kategorji pojęć, zawierających potrzebną cechę, staje się sam obrazotwórczy i powołuje do życia nowe pokolenie metafor. Itu właśnie tkwi punkt wyjścia wiecznie twórczej roli epitetu w obrazowaniu i „pojęciowaniu" literackiem.

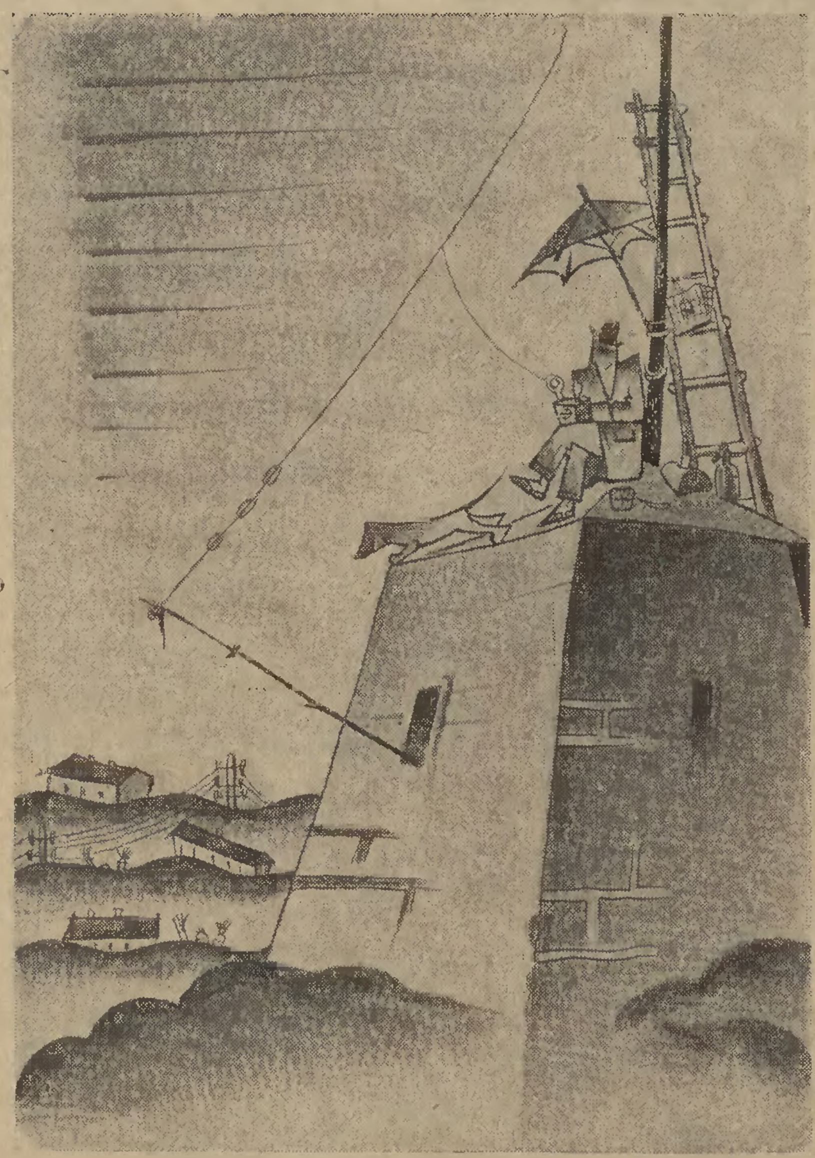
(Dokonczenie na szpalcie 4-ej)

Długo jeszcze będzie przymiotnik książeczką czekową form poetyckich, używanie go musi być jednak rządzone zasadą: „przez rozrzutność do oszczędności". Nie wolno używać epitetu tam, gdzie on jest zbyteczny t.j. powtarza tylko treść zawartą już w samem określanem pojęciu. Aby spełniał należycie swą rolę musi być potrzebny (ze względów narzucającej się konieczności logicznej, czy obrazowej) możliwie określony (zawierający treść, nie poddającą się dowolnym fluktuacjom) i nowy (posiadający jeszcze zdolność zapłodnienia wyobraźni, często bowiem popełnia się błąd z przyzwyczajenia zestawiając ciągle te same impotentne epitety z temi samemi pojęciami. Wytworzyły się w ten sposób do znudzenia ckliwe i nudne rodzinki zestawieniowe, w rodzaju „żelazna obręcz", „czarna rozpacz" i t.p.) Postulat nowości jest względny, nie absolutny t.zn. stosuje się do zestawień nie zaś do przymiotnika wogóle. Nowe ubranie odmładza osobę. Chociaż, jak już zauważyliśmy, w pierwszej części niniejszego, są i epitety wytarte do gruntu i pozbawione wszelkiej zdolności stworzenia życia metaforycznego. Te „szalone uczucia" (jeśli użyć całość za część) powinny być raz na zawsze skazane na imfamję i wygnanie do brukowych powieścideł, gdzie mogą się niemi dowoli podniecać „wiotkie panny" i „smukli młodzieńcy".

Po przywróceniu epitetowi wartości można mu przywrócić i należne miejsce w literaturze, sprowadzić z powrotem na honorowy fotel. Akcja ta spotyka się z jeszcze jednym przesądnym krzykiem. Straszak barokowości wytrząsa się nad świeżo wyklutym epitetem, jak zresztą nad każdą świeżo wyklutą metaforą. Słuszne zdanie Peipera, odróżniające barok, jako przerost zewnętrznych ozdóbek od nowoczesnej metaforyzacji — zmienionego materjału budulcowego nabiera cech jeszcze większej prawdziwości w odniesieniu do epitetu. Tylko, że Peiper pragnie uczynić język metaforyczny monopolem poezji, pozostawiając prozie gwarę codzienną. Jest to chwyt ręki, usiłującej utrzymać w garści rozwalający się mur. Pękł nit różnic dźwiękowych, dawno zostały pogrzebane teoryjki o „poetyczności" lub „prozaiczności" pewnych pojęć, aby podtrzymać walący się mur rozróżnień między prozą a poezją, którego nie zdoła już udźwignąć czysto techniczna sprawa rymowania — trzeba się uciekać do przyznania poezji wyłącznego prawa eksploatowania metafor. Czem jednak stanie się metaforyzowana proza? Nam osobiście mur wydaje się nieco papierowym.

Stefan Jędrychowski.

NASI KARYKATURZYŚCI



A. Czerniewski. „Przezorny" (z cyklu Powódź)

Jeszcze wiersz o Ojczyźnie

Nad brzegami niebieskiego Niemna
I Niewiaży o wodzie czarnej
Zasiewają jasnowłosi chłopi
Ciężkie pszenicy ziarna.

Koszą łąki, których zieleń jest
Największą radością świata
I wierzą, że dobry Bóg
Jak jastrząb w niebiosach lata.

Chłopcy w skwarne południa tętniącym tabunem
Konie jadą pławić na rozlewach
I radosne zawodzą śpiewy
W grzywy gniadych biją jak we struny.

A w niedzielne wieczory muzykę
Słychać w wielkiej nadrzecznej dolinie
To wychodzą dziewczęta i chłopcy
Tańczyć na gegużyne.

Ziemi tej urodziwej
Nie każdy godny
Z jej dolin spływa
Zapach łagodny.

Ci, których serce nie ma prostoty
Nie wnijdą do niej
Konno za szybkim szaraka lotem
Już nie pogonią.

Rzeką o świcie lecintkiem czółnem
Nie będą sunąć
Już nie usłyszą jak dzwoni północ
Na nieba strunach.

Nad brzegami niebieskiego Niemna
I Niewiaży o wodzie czarnej
Zasiewają jasnowłosi chłopi.
Ciężkie pszenicy ziarna.

Czesław Miłosz.

Z pamiętników człowieka poczciwego

OPOWIEŚĆ NADREALISTYCZNA

Dzień 1. Krakowskie Przedmieście wjechało na Nowy Świat. Nowy zsunął się na Aleje Jerozolimskie. Aleje Jerozolimskie wskoczyły na Marszałkowską. Stolica! Miasto kochane! Auta krzyczą. Ludzie latają. Konie wierzgają. Krzyżują się spojrzenia. Krzyżują się ulice. Od tego wszystkiego oddzielony szybkami siedzi w tramwaju człowiek poczciwy. Czyta gazetę. Gazeta jest jak lustro. Widać w niem odbicie świata. Jak ten świat wygląda? Trzy samobójstwa. Powódź. Niedola. Mussolini. D'Anunzio. Scialoja. Opera i operetka. Kobieta niezależna i przedstawienie w cyklu. Rekord w połykaniu ostryg i rekord w bieganiu dokoła stadjonu. Rekord wytrzymałości na głód i rekord ilości spalonych żon. Briand i Curtius. Pies pokąsał pięcioletnią dziewczynkę. Kiedy Curtius pokąsa Brianda?

Od tych spiętrzonych, zmierzwionych napisów, tytułów, tekstów jakim spokojem odbijają widniejące ponad gazetą na ścianie wehikułu cztery wyrazy na białej tabliczce, — ślad troskliwej opieki, jaką cię, lekkomyślna jednostko, darzy surowe społeczeństwo. NIE WYSKAKUJ Z TRAMWAJU. To lapidarne pouczenie, jaka ono posiada treść wewnętrzną?

Życie w mieście regulują przepisy. Jest ich dużo. Każdy przepis posiada sankcję. Istnieje przepis, którego złamanie grozi kalectwem dożywotniem, utratą życia na miejscu i jednym złotym egzekucji doraźnej.

Nie wyskakuj z tramwaju! Nie wyskakuj z tramwaju!! Nie wyskakuj z tramwaju!!!

Dzień 2. Życie codzienne stawia nam coraz większe żądania i coraz więcej wymaga od nas heroizmu. Ileż trzeba samozaparcia, ile pogody i siły, żeby sprostać obowiązkom, jakie na nas nakłada życie społeczne.

— Czy pan wychodzi?

— Co chwila.

— Pytam, czy pan wysiada?

— Regularnie.

— Ja się pytam, niech się pan przesunie

— Wszyscy wysiądziemy na przystanku.

Byłem silniejszy od natręta. Wszyscy wysiedliśmy na przystanku.

NASI KARYKATURZYŚCI



A. Czarniewski

...a człowieka zawsze najbardziej interesować będzie człowiek.. (Peiper)

NASI KARYKATURZYŚCI



T. Godziszewski. Ilustracja do poematu — Buffo Czesława Miłosza.

Dzień 3. Czasem człowiek spotyka na drodze przeszkody, którym podołać nie może.

Dziwne rzeczy się działy owego poranku. Stałem na platformie, czekałem przystanku. Już łypałem okiem na schodki, kiedy z wnętrza tramwaju rzuciła się fala i przykorkowała mię do poręczy. Kiedy zrobiło się luźniej, tramwaj był znowu w największym pędzie. A przy każdem zwalnianiu nie było mowy o wysiadaniu.

Dusi nas i przytłacza moloch rozwścieczony. Cóż pocznie słaby człowiek sam i opuszczony? Ucieka myślą od codzienności i zagłębia się w sprawy wieczne.

Lecz cóż to? Ja sam na platformie? Światła w tramwaju pogasły. Gdzie jest konduktor? Aha, jesteśmy w remizie.

Dzień 4. Błogosławieni cisi, albowiem oni świat objadą na gapę. Cierpliwością a pracą buduje się szczęście rodzinne. Cicha woda brzegi podrywa tak, jak się podrywa autorytety. Przemyślność ludzka wynajduje środki do urzeczywistniania celów zamierzonych.

Po wczorajszej przygodzie zawsze teraz wybieram taki tramwaj, od którego remizy jest najbliżej do celu mojej podróży. A gdzie ten cel? Ucieka.

Dzień 5. Pan Bóg ma w swojej opiece ludzi pokornych. Dzisiaj, kiedy zanosiło się znowu na to samo, na rogu, światło zgasło, prąd się przerwał, tramwaj stanął, a ja skorzystałem z zamętu i wysiadłem.

Dzień 6. Mówili mi zwarjujesz: Zwarjujesz od przestrzegania przepisów. Jest ich za wiele.

Dzień 7. Piękne jest życie człowieka uprzywilejowanego. Twarz ma pogodną. Ruchy jego nabierają swobody. Spojrzenie pewności siebie. Gdybym tak miał przywilej wsiadania przez przedni pomost, a wysiadania przez tylny. Wsiadłbym przez przedni. Ktoś nieświadomy zwróciłby mi uwagę. Uśmiechnąłbym się tak, jak uśmiechał się Marceli Proust, kiedy pisał list do pani Laury Hayman, tłumacząc jej pobudki, które go skłoniły do takiego, a nie innego ujęcia pewnego wyrażenia, co wydało się uwielbianej przez pisarza królowej salonów paryskich niezgodnem z prawami języka francuskiego. A jeśliby mnie kto spytał, dlaczego posuwam się w kierunku tylnego pomostu, skoro mógłbym wysiąść i przednim, odpowiedziałbym: właśnie przejechaliśmy Żórawią, ja tam mieszkam i tędy jest mi bliżej.

Dzień 8. Wiosna. „Któż z nas tych lat nie pomni". Nie. Nie to. Ach, już wiem. „Jakież są, ziemio, twoje upojenia", któreby mogły się zrównać z tem czarodziejskiem słowem? Postacie na ulicach wiatr omuska. Wiatr owiewa głowę. Wiatr wysoki.

Ileż rzeczy otwiera nam oczy na cudowną budowę świata. Ileż zjawisk wpada nam do świadomości. Czy można zauważyć wszystkie?

Patrzyłem właśnie, jak biją się dwaj ulicznicy. Roznosiciele gazet rozkrzykiwali po mieście trzy morderstwa. Młodzież jest lekkomyślna. Z wiekiem lekkomyślność się wzmaga, myślę sobie.

Czyż można zauważyć wszystko? Właśnie był przystanek i — już go niema.

Kiedy był drugi przystanek, patrzyłem, jak z sąsiedniej ulicy rudy pies wyskoczył i w karku psa czarnego białe kły ubroczył.

NASI KARYKATURZYŚCI



T. Godziszewski „Laureat"

Na trzecim przystanku stoją wielkie drapacze, a niebo na mieście kołuje gołębiami. Jest ich pewno dwieście.

A kiedy wreszcie wysiadłem: przez wiosenne aleje wiatr wiosenny wieje i wiosnę — Prozerpinę zmienia w epopeę. W napotkanej cukierni nie było śmietanki, więc długo oglądałem portret Wilmy Banky. Dwóch po drodze spotkałem Japończyków z bronzu. Brzuchy muszą mieć śmieszne, jak ten w sklepie bonza. Kto cię, miasto, tak ubrał w kolorowe chusty? Na plecach nowe palto. Dytyramb na ustach!

I tak jakoś doszedłem do domu.

Dzień 9. Nie chciałem wyskoczyć, kiedy było luźno. Tramwaj stanął. Zrobił się tłok. Potrąciłem jakąś kobietę. Powiedziałem: to tramwaj. Ona potrąciła chłopca. Chłopiec się ślizgnął. Tramwaj silnie zadzwonił. Przechodzącemu panu wypadł z ust papieros. Zapalił się papier i skórka pomarańczy. Od skórki zapaliły się wiórki. Wiórko zapaliło podwórko. Patrzyła się ulica, jak płonie kamienica.

Dzień 10. Mówili mi: źle wyglądasz. Powiedziałem: przestrzeganie przepisów wymaga wiele heroizmu.

Dzień 11. Ale tego dnia tramwaj zwarjował. Wcale się nie zatrzymywał tylko ciągle jeździł po swojej linji tam i z powrotem. Po kilku godzinach uporczywych studjów, wreszcie wykorzystałem ten ułamek momentu u zakończenia linji, kiedy jednostajnie opóźniony ruch w jednym kierunku zrównoważył się zupełnie z jednostajnie przyśpieszonym ruchem w drugim kierunku i wtedy wysiadłem, nie wyskakując.

Dzień 12. Dziś było gorzej. Tramwaje są źle usposobione. Zaledwie dotknąłem schodków nogą, drugi tramwaj zwarjował. Ale ten jeździł dokoła i chwilowo nie było nawet nikłego ćwierkania nadziei. Dopiero po pewnym czasie poprawiły się horoskopy.

Teraz czekam momentu, kiedy pęd coraz szybszy tramwaju zrównoważy się z ruchem obrotowym ziemi wirującej dokoła swej osi.

Dzień 13. Wszystko jest znowu w porządku. Wysiadłem z innymi na przystanku. Ochlapało nas auto ciężarowe, które wiozło tuczone świnie na zarżnięcie. Z zazdrością patrzyłem, jak o kilkanaście metrów dalej wyskakiwał w całym pędzie jakiś duch niepodległy, lekko tylko trącając o błoto spodem podeszwy.

Jerzy Zagórski.

PATOLOGJA WIERSZY

1. Pisanie wierszy jest zbyt poważnym nałogiem, żeby można go było lekceważyć. Mówić o kimś „poeta“ należy tak samo, jak „alkoholik“, „morfinista“: „Nieszczęśliwy, biedny - poeta“.

2. Faktycznie wiersze jako rodzaj literacki są otaczane powszechną wzgardą. Podziwia się tylko ludzi którzy umieją w sposób zgrabny, t.zn. demagogiczny, przystępny — pisać je. Dla czytelników świątecznych dodatków do pism wiersze są bardzo niepotrzebne.

Ale na szczęście dotąd panuje ogromny snobizm wszystkich warstw społecznych od praczki do dyrektora banku, pozwalający grafomanom i poetom korzystać z gościny prasy i naiwności nakładców.

Pozatem wiersz, dobry wiersz, wieloprocentowa poezja jest teraz wyraźnie lokajem burżuazji.

Poezja rewolucyjna? Blaga. Wzięła od rewolucji rzecz najbłahszą—fabułę. Reszta to powtarzanie i małpowanie wspaniale rozwijającej się współczesnej twórczości sfer burżuazyjnych, mieszczańskich: inteligencji związanej z interesami kapitału.

3. Zadanie wiersza, zadanie poezji: poruszyć. Obudzić w odbiorcy zdolność do najbardziej zapierających oddech obrazów, skojarzeń, myśli. Zestawienie, zderzenie niespodzianych słów i końcówek, kołysanie rytmu.

Bardzo ważne: poeta musi ubiegać czytelnika, być od niego bystrzejszym, zdolniejszym.

A więc:

gdy czytelnik z pierwszego rymu, z pierwszego obrazu domyśla się już dalszych, gdy szepcze po słowie ojczyzna z zadowoleniem blizna, wie, że zachód ma być purpurowy, a zadumanie błękitne,

wtedy

poeta staje się absolutnie mały, nieciekawy, nieemocjonujący.

„Opiewać“ należy tematy, ale w sposób coraz nowy, coraz inny. Stąd żadne poszukiwania na drodze wzbogacenia stylistyki wiersza nie są chybione. Postulat nowości i świeżości w poezji to conditio sine qua non.

A postulat oryginalności poety na tle epoki: to jego karta wstępu do historji literatury.

Historja literatury: niestety notatki kronikarskie.

4. Jeżeli nawet natrętne powtarzana prawda staje się komunałem, czyż stąd nie wynika, że najpiękniejszy wiersz, gdy jest zbyt pospolity („zawędrował pod strzechy“), znajduje się na ustach wszystkich—traci swą wartość.

Nie wartość estetyczną, lecz emocjonalną. Nudzi. Jest zanadto znany: jest przysłowiem, szkatułą cytat.

5. Wiersz, który nie daje satysfakcji piszącemu traci bardzo dużo procent racji bytu, bo traci najniezawodniejszego i najżyczliwszego odbiorcę. Wiersz, pisany z myślą o czytelniku, a przez to:

świadomie za wyraźny,
za popularny,
za efektowny
i t. p.

jednem słowem demagogiczny kryje w sobie kłamstwo i fałsz. jest ontologicznie zły, niemoralny.

6. Valery: „Wiersz - świętem intelektu“. Więc nawet te wzruszenia, które dosłownie dławią gardło, wywołują przesłonę łez w oczach, przyśpieszają bicie serca — docierają do naszych wzruszeń przez mózg, przez pracę krytyczną intelektu. I to jest właśnie najbardziej „cudowna“ cecha poezji.

7. Okoliczność, że można właśnie do wierszy stosować wzgardzone i niebezpieczne przymiotniki w rodzaju: dziwny, cudowny, wspaniały — raz jeszcze dowodzi, jak groźnym, niszczącym nałogiem jest kochanie i pisanie wierszy.

Pasteljusz.

ŻYCIE JEST KRÓTKIE

(Fragmenty scenarjusza filmowego)

Jakakolwiek scena sportowa, może być bieg naprzełaj. Szybkie ruchy zawodników, naprężone mięśnie, na młodych twarzach znać wysiłek, pragnienie zwycięstwa.

Nie znajdziemy tego w ogródku przytułku dla starców. Tam wolno chodzą niedołężni staruszkowie. Opierają się o kije, przystają. Twarze są zmęczone, zmartwiałe, jak u nieboszczyków. Oczy łatwo się przymykają.

Albo taniec girlsów! Zgrabne, jędrne nogi, wyrzucane w górę, wysoko i zgodnie. Ciała młode, prężne. Szybkie, zgrabne obroty. Na twarzach uśmiech, rozchylone usta, ukazują zdrowe zęby.

Zato jak żałośnie wyglądają stare babule, dwie, albo trzy, idące ulicą. Walczą z wiatrem, który śmiesznie wydyma im suknie, pozbawia oddechu. Babule wykręcają sie niezgrabnie, żonglują niedołężnie kijkami. Zmęczone przystają. Mają starcze, zgaszone twarze, przymknięte oczy.

„Modlitwa o szczęśliwą śmierć!“ Starcze twarze mamroczą wolno słowa pacierza. Wyblakłe oczy z lękiem wpatrują się w obrazy świętych. Ręce przesuwają paciorki różańca. Ale modlitwę przerywa starcza drzemka. Usta zaciśnięte, oczy się przymykają.

Śpiąca starość wygląda jak umarła. Przesuwają się przed okiem aparatu jeszcze raz: drzemiący (może umarli) starcy w fotelach, — stróże w bramach, dorożkarze, żebracy. Obraz uzupełni widok starych, wynędzniałych szkap, które drzemią z pochylonemi łbami. Tak samo psy. Sfotografujemy także stare, powalone drzewa, stare porzucone maszyny, stare zegary, z zatrzymanemi wahadłami, opuszczone, grożące ruiną domy. Niepotrzebne to graty. Zwykły los starości.

*

Jakieś ręce rozdzierają arkusze lepkiego papieru na muchy. Leży przed nami jeden taki arkusz, pusty jeszcze. Tak samo są puste i niezaklejone ściany na rogach ulic

Ale na arkusz lepkiego papieru wpada pierwsza mucha. Na rogach ulic, na słupach ogłoszeniowych — świeże klepsydry. Przechodnie. Czasem kto przystanie i przeczyta. Twarze obojętne.

Na papierze dla much już kilka ofiar. Jedną z nich przyciska palec — teraz się nie poruszy! Czyjeś ręce zamykają oczy umrzykowi, oczy zgasłe nazawsze.

Odsłonięte głowy obojętnych gapiów. Pogrzeb. Zanim kondukt schowa się za rogiem ulicy, zauważymy: chorągwie, księdza, trumnę, karawaniarzy, śpiewaków, pochylone postacie osieroconych, przez chwilę dostrzegamy także tekst tabliczki: „...mając lat 73“ Głowy obojętnych gapiów przykryte. Karawan się oddala, koła obracają się powoli, bardzo wolno.

Tak samo wolno obracają się koła wózka dziecinnego. Do twarzy dziecka uśmiecha się piastunka. Uśmiechają się przechodnie. Do dzieci trzeba się uśmiechać.

Mały, ładny chłopak, z zadartą główką. Bo starszy pan, który się do niego uśmiecha jest wysoki. „Czem będziesz chłopcze, jak wyrośniesz?“ „Żołnierzem!“

Dzieci bawią się w wojsko. Idą w szeregu, śpiewają. Patyki na ramieniu. Patyki wycelowane w „szpiega‘, którego trzeba rozstrzelać.

Prawdziwe karabiny ustawione w długim rzedzie. Rząd prawdziwych żołnierzy, w rynsztunku bojowym. Komenda: co dziesiąty wystąp. Na ramię broń. Marsz (bez napisów, same zdjęcia). Patrol z pięciu ludzi maszeruje. Skrada się. Ręce repetują broń. Karabiny wycelowane. Pięć mogiłek w rzędzie.

„Czem będziesz chłopcze. jak wyrośniesz?“ „Lotnikiem!“ Eskadra samolotów szybuje. Ewolucje. Samoloty pięknie połyskują w słońcu.

Motyle. Niefrasobliwie migocą nad kwiatami. Opadają motyl zgnieciony na szosie.

Kraks samolotowy. Samolot napół zdruzgotany. Rozkrzyżowane skrzydła.

Motyle rozpięte na szpilkach. Bohater lotnik w trumnie. Żołnierze z obnażonemi szablami stoją na baczność. Szpilki i szable błyszczą podobnie.

Papier na muchy upstrzony ofiarami. Tak samo cmentarze: pełno poczerniałych krzyży, grobów.

*

Suplikacje w kościele „Od nagłej i niespodziewanej śmierci...“ Organy: ręce grają potężne akordy. Rozśpiewane twarze modlących się: kobiety, mężczyźni, starcy, dzieci, celebrant, ministranci. Organy.

Smukła sylwetka młodej kobiety. Zasłonięta parasolką, stoi przed wystawą. Przystojny młodzieniec radośnie woła ukochane imię. Dziewczyna odwraca się. Śliczny uśmiech na twarzy. Młodzieńca i dziewczynę przedziela jezdnia. Młodzieniec z kwiatem w ręku, przebiega jezdnię. Z za rogu wypada auto. Spóźnione sygnały! Nieszczęście! Przerażenie na twarzy dziewczęcia, okrzyki trwogi. Tłum na miejscu katastrofy.

Po chwili, na miejscu katastrofy pusto. Pozostał tylko kwiat, który niósł młodzieniec. Zupełnie nietknięty.

A. Bohdziewicz.

EX-LIBRIS

— **Jarosław Iwaszkiewicz. Powrót do Europy.** Poezje, Warszawa, 1931.

Bezboleśnie, siłą faktu historyczno - literackiego grupa Skamandra stała się cząstką antologij, oficjalną, „klasyczną“ poezją epoki, która już nawet mija. Paradoks: skamandryci stali się klasykami dzięki swoim rzeczom bezwątpienia słabszym, niż te, które dali później, lub dają teraz. Zostaną w naszej literaturze jako młodzi piewcy i pijacy Wiosny i wina, tańcząc Sokratesy i wielbiciele Dionizosa.

Tupet, brawura lat młodych przysłoniły ich nowe, kształtujące się coraz wyraziściej oblicze.

Wierzyński odpadł — sportowiec! — po kilku okrążeniach spuchł. Lechoń — kto wie co o Lechoniu?; milczy. Naprzód się jednak posuwają zarówno Słonimski (Wieża Babel), Tuwim (a choćby taki wiersz, jak Mieszkańcy) i wreszcie Iwaszkiewicz.

Ewolucja tego ostatniego znamienna i głęboka: po grzechach młodości: ucieczce do Bagdadu dzisiaj **powrót do Europy;** oczy, patrzące dawniej na kopuły miast Wschodu, na stepy Ukrainy, spoczęły na starej, dobrej i mądrej Europie. Nie chodzi tu jedynie o temat: uległa głębokiej zmianie sama postawa wobec środków artystycznych, jakiemi się poeta posługuje. A więc klasycyzm formy, skończoność i wielkie opanowanie.

Niema niepokoju, szukania nowych szlaków. Jest świadome wejście na drogę, którą idą twórcy dojrzali, pewni siebie i swego niezawodnego kunsztu.

Paul Valery, Mickiewicz, Kochanowski.

Świetne wiersze: do P. Valery, „Niedoszła podróż“, „Późny wieczór“, „Gospodarstwo“. Potem — tak wspaniale reprezentowane w Polsce od Sonetów Krymskich i sonetów Nowickiego, Tetmajera do Balbińskiego i Iwaszkiewicza właśnie wiersze „geograficzne“, tu np. „Wisła i Ren“.

Doskonała stuprocentowa poezja.

tb.

Wawrzyniec Czereśniewski: Odkrywanie Tajemnic. Poezje. Bibljoteka „Kadry“ t. II 1931 r.

Jest śmiałe i odważne wejście w życie. Dlatego zająłem się omówieniem tego debiutu. Powiem odrazu, że ta śmiałość i odwaga jest nieco konwencjonalna — bo programowa. Piękna to rzecz afirmatywn stosunek do literatury. „Jesteśmy przecież poto, by w głębiny sięgać, wierszami, jak oczami mierzyć nieskończoność“. Czujemy już dalekie podanie braterskiej ręki. Tem milej witamy rzeczywiste poszukiwania formalne: w układaniu zdań i w rytmie. Widzę efektowne przełamanie muzyki po piątej strofie wiersza tytułowego i ciekawych parę zwrotów w wierszu o melodji. Ale i tu i tu efekty środkowe miażdżą się w słabem zakończeniu.

Nie sądzę, że to celowy purytanizm, raczej niewytrzymanie tempa w stylu. Po przeczytaniu jednokrotnem książki pozostaje w pamięci wiersz p.t. „Polska“. Bardzo charakterystyczny. Surowy prymitywny rytm. Koncepcja ideowa. zresztą sympatyczna i bardzo szlachetna, nie wybiega poza łatwość. Stad wrażenie deklamatorstwa, zresztą silnego. Ale „krzyk“ pozostaje krzykiem, a co gorzej nie uwolni się z papieru tak samo jak „tęcza“. „Przyszłość kąpana w mleku“ to może jeszcze piękne i pożywne. „Kartoflany kraj bojowników“ chybia już zupełnie. Estetycznie nic nam nie mówi i nasuwa skojarzenia medali kartoflanych. Więc znów mówimy o słabym finiszu. Trudno. Są biegacze, którzy „puchną“ na mecie, są konie „słabe w pęcinach“. Są i poeci słabi w puencie Zwierzę się z sekretu: słaba puenta zjawia się tam, gdzie poszukiwania formalne nie znajdują równoważnika w poszukiwaniach myślowych. Pościg za małą metaforą zabija utwór. Pościg za małą metaforą jest zwłaszcza niebezpieczny, gdyż erudycja zastępuje patrzenie i prowadzi spadzistą linją do pseudoklasycznych zgoła ornamentów, że „Hymnem śmierci dorodnej ciskał skrzyp szubiennic“, jako najbardziej absurdalne i nie licujące z tematem wymienię. A przecież ten sam człowiek potrafi powiedzieć lapidarnie i wspaniale np. o patrzeniu z pociągu: „Oczy nasze tonęły w pięknie, tylko słuch mu urodę kradł“. A więc nierówność! Tom, jak na debiut był zaobszerny. Zbyt mało staranna selekcja, stąd wyczerpanie koncepcyj. Ciągle warjanty na podobny temat i monotonja. „Gromy duszy““ przestają błyskać. Są i wiersze, w których zupełnie nic się nie miało do powiedzenia. Nie rozumiem konieczności tych „Kaczek na stawie“. Witamy odległe skojarzenie. Coś, jakby negatyw Asnyka. Pamiętam. Uczyłem się na pamięć cyklu „Nad głębiami“. Tamto też było „odkrywanie tajemnic“. A przed oczyma mam strofę o burych kępach. I tu woda i tam woda. Łudząca Maja odsłania kurtynę. Kaczki pokazały kupry.

Jeśli przeczytasz kilka tych słów niepowołanych przyjacielu, który „daleko w noc wsłuchany jak ja swe wiersze piszesz“ nie miej mi ich za złe. Było to koleżeńskie zmierzenie się wzrokiem. Tych, którzy tak samo myślą bój łatwiej połączy. Wszyscy szukamy i błądzimy. „Niebo oddycha nową wiosną, lecz jakież, jakież jej imię?“

(jz).

Komitet Redakcyjny: Teodor Bujnicki, Antoni Gołubiew, Stefan Jędrychowski. Kierownictwo artystyczne: Tadeusz Godziszewski.

Wydawca Stanisław Mackiewicz

Drukarnia Wydawnictwa „Słowa“ Zamkowa 2